

Traktat o złej robocie

14 czerwca 2016

„Niewidzialna ręka rynku” pokazała gest Kozakiewicza.

Nie macie wrażenia, że wszystko, co kupujecie, rozwala wam się w rękach? Że fachowcy od gazu, montażu mebli, czy innej elektryki, są gośćmi, którzy do wczoraj specjalizowali się w marketingu i zarządzaniu? Że większość tekstów na portalach informacyjnych nie trzyma się kupy, a – zapewne dyplomowani – telemarketerzy, dzwoniący, by was namówić na kolejną super okazję, nie powinni skończyć podstawówki z powodu nieznania podstaw języka polskiego? Jeśli na powyższe pytania odpowiedzieliście twierdząco, to witamy w świecie polskiego, niskokosztowego kapitalizmu.

Dawno temu znajomy, snując wspomnienia z czasów wojny, opowiadał jak w Małopolsce pod koniec walk oddział niemiecki wpadł w kocioł. Uciekali raz do przodu, raz do tyłu. Za każdym, nawet kilkugodzinnym postojem, fachowcy od stawiania latryn musieli postawić nowy kibel. Tak samo było w wiosce, w której rzeczony znajomy mieszkał. Żołnierze wykopali dół, wybudowali prowizoryczną toaletę z desek, gdy nagle pojawiły się radzieckie czołgi i trzeba było uciekać. I to bezpowrotnie. Gdy większość Niemców w panice pakowała się do samochodów, jeden z żołnierzy, w ostatniej chwili, wyskoczył z ciężarówki z młotkiem, podbiegł do latryny i przybił odstającą deskę. Nieważne, że kibel nigdy nie miał posłużyć żadnemu Niemcowi. Fachowość żołnierza nie pozwoliła mu na odstawienie kichy.

Za komuny prasa była pełna nabijania się z nieudolności i złodziejstwa kelnerów, w kabaretach rechotano się z hydraulików, a przez opiniotwórcze tygodniki przetaczała się dyskusja o tym, że w socjalizmie zanikło coś, co nosiło nazwę „etos pracy”. Tym czymś mieli się charakteryzować wyłącznie osobnicy, którzy karierę zawodową zaczęli jeszcze przed

wojną. W kapitalizmie, znaczy się.

Wytłumaczenie było proste: ludzie się nie przykładają, bo nie działają systemy motywacyjne, dzięki czemu „czy się stoi, czy się leży, 5 tysięcy się należy”. I znów przyszedł kapitalizm, a wraz z nim „niewidzialna ręka rynku”, która miała to zmienić. Ludziom wciskano kit, że pracę należy szanować, bo jest dobrem rzadkim. Wciskano też, że kapitalizm polega na tym, żeby osiągać zysk. Co mogło być największym zyskiem pracownika, który za kilkanaście godzin pracy dziennie dostawał najniższą krajową i to w dodatku na umowę zlecenie? To, żeby się nie napracować. Pracownik zaczął się zatem opieprzać jak tylko mógł. Nie bał się, że go wykopią, z tego prostego powodu, że zarabiając na pograniczu płacy minimalnej, robotę mógł znaleźć wszędzie. Do nieskomplikowanych prac polscy kapitaliści nie szukali kogoś, kto zna się na robocie, tylko tego, komu można zapłacić najmniej.

Zresztą większości pracodawców wcale nie chodziło o jakość świadczonych przez jego firmę produktów czy usług. Jego ludzie mieli zrobić to, co zostało zapisane w kontrakcie z zamawiającym. W kontrakcie, w którym – rzecz jasna – główną rolę odgrywała cena. Wykonawstwo kończyło się w momencie odebrania przez zamawiającego tego, co zamówił. Miało to działać i wyglądać tylko w tym momencie. Bylejakość i totalne dziadostwo zapanowało zatem tak w sektorze publicznym, jak i prywatnym.

I nawet na wsi, i w małych miejscowościach, gdzie zdawać by się mogło, że znalezienie roboty graniczy z cudem. Tam też pracownicy symulowali robotę z stopniu optymalnym, a to dlatego, że miejscy kapitaliści, znając realia miejscowego rynku pracy, płacili zatrudnianym osobom znakomicie mniej niż wymagała tego przyzwoitość, że o gwarantowanej prawem płacy minimalnej nie wspomnę.

Historia ekonomii uczy, że niewolnictwo szlag trafił, bo okazało się niewydolne gospodarczo. Niewolnik nie był

efektywnym pracownikiem. Nie pomagał system nadzoru, kontroli i karania. Niewolnikowi brakowało po prostu motywacji. Udawał, że pracuje, bo w pracy tej nie widział żadnego interesu. Bycie niewolnikiem nie niosło dla niego żadnych perspektyw poprawy swojego losu. Niewolnik był tak naprawdę w niewoli beznadziei.

Według GUS średnia krajowa pensja brutto to ok. 4300 zł. Daje to jakieś 3 tysiąki na rękę. Tyle, że razem z pensjami menedżerów i prezesów. Dokładniejsze wyliczenia pokazują dominantę, czyli to, że większość pracujących Polaków zarabia niecałe 2 500 zeta brutto, dostaje zatem na konto niecałe 1700 złotych.

Ale wiarygodność tych danych i tak bierze w łeb, bo kwoty te są obliczane na podstawie wynagrodzeń pracowników zatrudnionych tylko w przedsiębiorstwach liczących co najmniej 10 pracowników. Poza statystyką jest zatem znakomita większość pracowników i to właśnie tych zarabiających najmniej.

Na co wystarczyć może 1700 zł miesięcznie? Zwłaszcza, że z wyliczeń ekspertów z Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych wynika, że kwota minimum socjalnego dla czteroosobowej rodziny to 3400 zł. Wygląda na to, że jeżeli w gospodarstwie domowym pracuje jedna osoba, to nieważne, czy zarabiamy średnią, czy dominantę, i tak czeka nas życie na poziomie minimum socjalnego. To zaś oznacza, że chociaż brakuje nam "na wszystko", to teoretycznie nie jesteśmy wykluczeni społecznie. Oznacza, też coś jeszcze – brak nadziei na zmianę.

Oczywiście są tacy, którzy sądzą, że mają w kieszeni wygrany los na loterii. Najczęściej są to osoby 30-letnie, które załapały się na pierwszą w życiu etatową pracę, za pieniądze, o których wcześniej nie marzyli, czyli 3000 zł na rękę. Doradcy kredytowi upewnią ich w tym, że odtąd będą zarabiali już tylko więcej i więcej. No i w związku z tym wcisną im stosowny kredyt hipoteczny. Tymczasem badania pokazują, że w Polsce najwyższe zarobki osiąga się statystycznie w wieku lat 38. Potem jest już tylko mniej i mniej. A rata kredytu wciąż

ta sama.

Nowi pracodawcy nie kwapią się z oferowaniem komuś w podeszłym wieku wyższych uposażeń. Wiedzą, że wraz z wiekiem spada w narodzie chęć rzucenia wszystkiego w diabły i emigracji. Pracownik po czterdziestce bierze, co mu dają. I oczywiście udaje, że robi co mu każą.

Mentalność niewolnika Polacy zabierają ze sobą i na emigrację. Są nauczeni, by się nie sprzeciwiać pracodawcy. Wiele razy w Polsce przerabiali dyskusję o podwyżkach i zapamiętali, że jak się nie podoba, to na ich miejsce jest kilku innych kandydatów. Te obawy Polacy przenoszą na zachód Europy, uważając, że tam jest tak samo. Boją się odezwać. Tolerują takie zachowanie pracodawcy, najczęściej pośrednika, a tak naprawdę nie mają nawet gwarancji, że utrzymają swoją pracę, że dostaną następne zlecenie. Jednak na Zachodzie przynajmniej wiedzą, o co grają. Tamtejsze minimalne wynagrodzenia pozwalają żyć na poziomie dwakroć wyższym niż minimum socjalne. Stąd choćby w Brukseli, czy Londynie dobra renoma polskich złotych rącek, robotników budowlanych i hydraulików.

Polska ekonomia stała się gospodarką złapaną w pułapkę niskich kosztów. Uniemożliwia to rozwój i innowacyjność, ale także normalne życie. Stąd codzienne rzucanie mięchem, gdy ma się do czynienia z dziadostwem, bylejakością i olewactwem. O etosie pracy niemieckiego żołnierza sprzed kilkudziesięciu lat możemy sobie pomarzyć. Tak, jak o obiecanych przez PiS 12 złotych za godzinę, czyli 1200 zł. miesięcznie na rękę, które nawet gdyby w końcu zaczęły obowiązywać, i tak niczego nie zmieniają.

Autorstwo: Tadeusz Jasiński

Źródło: Strajk.eu